

Życie pod jabłonką

W tle rozbrzmiewa muzyka instrumentalna – spokojna, nastrojowa.

Po lewej: fotel, stojąca lampa, stolik, filiżanka z herbatą. W fotelu siedzi stara pani Irena – ma nogi owinięte pledem. Na kolanach trzyma grubą książkę – album ze zdjęciami. Zdjęcia – przypięte do koca – „spływają” aż na ziemię.

Po prawej: getto żydowskie. Skłębione papiery, brudne rzeczy. Drewniany wózek. Walizki. Drzewo – jabłonka. Kilkoro dzieci siedzi w tych stertach i je skórki od chleba.

Ubrana na biało, zwiewna postać chodzi między nimi i recytuje, rozglądając się dokoła, czy nikt nie widzi, uciszając dzieci:

1. WIERSZ

Stuk stuk, stuk stuk, stuk stuk...
Koło trzeszczy, stukoce o bruk.
Stuk stuk, stuk, stuk, stuk stuk...
Cicho dziecko, tu jest wróg.

Bo pomagać wszystkim trzeba,
potem Boża kromka chleba...

Dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć...
Dwa tysiące pięćset...

A ty, Burku, szczeknij raz, może dwa...
Niechże Niemiec mętnik ma.
A ty, dziecie, cicho leż,
niech nie słyszą twoich łez.

Stuk stuk, stuk stuk, stuk stuk...
Cicho dziecko, słucha wróg...
Szczeknij, Burku, raz i dwa,
Niechaj dziecko szansę ma.

A wy, matki rozdarte na strzępy, serca ukryjcie,
o żywych swych dzieciach śnijcie.
Stuk stuk, stuk stuk, stuk stuk...
Cicho dziecko, tu jest wróg.

STARA PANI IRENA przegląda album, wspomina

Mały Michaś Głowiński... Już nawet nie pamiętam jego prawdziwego nazwiska... Zawsze był taki poważny w tych swoich drucianych okularkach. O, a to Irenka Wojdowska i Kasia Meloch – stoją grzecznie wyprostowane, z warkoczykami, na których jak białe róże zakwitają wielkie kokardy. Piotruś Zettinger ubrał do zdjęcia mundurek z marynarskim kołnierzem. Strasznie go nie lubił – wolał biegać po uliczkach w swoich dziurawych spodniach, które tylko dzięki tak staromodnemu wynalazkowi jak szelki nie spadały mu do kostek... Taki był chudzieńki... I Tereska Majewska – jakie ona miała wielkie, błyszczące oczy. Odbijał się w nich cały świat... Jeszcze ten sprzed wojny... A to Pesa Rosenholc – później... Jadwiga Konarska. Ależ jej się nie podobało to nowe imię... Płakała za każdym razem, kiedy ktoś mówił do niej „Jadwiniu to... Jadwiniu tamto...”. Całe szczęście, że miała zaledwie cztery lata i łatwo

ją można było pocieszyć kostką cukru... O, jest też Irenka Kerner – nasza mała baletnica. Gdy tylko usłyszała muzykę – wirowała jak kolorowy motyl, lekko unosząc się na puentach. Czasami miałam wrażenie, że kiedy otworzę szerzej okno, to odfrunie... Ponad dachami, murem getta, Warszawą... Dzieci... Moje dzieci...

Spuszcza głowę, przeglądając dalej album. Ubrana na białą postać pochyla się za jej plecami, zagląda do albumu, potem lekko podchodzi do drzewka i – podnosząc, oglądając słoik – recytuje:

2. WIERSZ

W Warszawie pod jabłonką
Stary słoik zakopany –
W nim setki bibulek
Starannie zawiniętych
Jak malutkie beciki
Dla dzieci żydowskich
Ocalałych, wywiezionych z getta
W skrzynkach, z których wyglądały
Tylko przestraszone oczka
Lub wyprowadzonych przez
Piwnice kamienic.
Beciki dla dzieci uratowanych
Rękoma Pani Ireny
Rękoma silnymi,
Lecz pełnymi nadziei.
Rękoma, które karmiły,
Poily i leczyły,
Rękoma Polski.
W Warszawie pod jabłonką
Są ludzie,
Wolność,
Wspomnienia.

*Odklada słoik na miejsce... Podchodzi do dzieci... Głaszcze je po głowie... Odchodzi i siada u stóp Ireny.
Umorusane dzieci z getta rysują coś patykiem na piasku. Kucają. Stykają się głowami.*

PIOTRUŚ

Tesia, wiesz, ile to jest sto miliardów?

TERESA

Mam tylko dwie ręce, Piotrek. Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele...

PIOTRUŚ

Słuchaj, wczoraj w kubie na śmieci na podwórku u profesora Rosenbluma znalazłem grubą książkę – ma chyba z tysiąc stron.

TERESA

Nie za dużo tych liczb, które przekraczają podstawowych dziesięć palców u rąk?

PIOTRUŚ

Tesia, ciągle się nabijasz... A ja chcę ci powiedzieć, że w tej książce znalazłem rozdział o życiu gwiazd – wiesz, że te srebrne punkciki na niebie mają grubo ponad siedem miliardów lat, a w samej Drodze Mlecznej jest ich ponad sto miliardów? Ktoś to policzył – ktoś tu, na ziemi... To niesamowite!

TERESA

No i się zgadza...

PIOTRUŚ

Co? Co się zgadza?

TERESA

Że lubisz cyfry, które pęcznieją od zer.

do publiczności:

Tak się właśnie rozmawia z przyszłym profesorem fizyki, który będzie chodził w za dużych marynarkach, trzymając po kieszeniach zeschnięte skórki od chleba... Jakby ciągle się bał, że jeszcze kiedyś spadnie mu na głowę czarne niebo warczące samolotami i szczerzące zęby jak zły pies...

do Piotrusia

A nie znalazłeś w tym kubie nic do jedzenia? Może profesor wyrzucił też jakieś ciastka z marmoladą lub mleczne landrynki... Nic tam nie było, Piotrusiu?

PIOTRUŚ

Tesia, z tobą się nie da normalnie pogadać... Jakie ciastka? Jakie landrynki? Dziewczyno... Tę książkę wrzucili tam Niemcy, kiedy wyprowadzali profesora – pewnie nic nie zrozumieli z tych gwiazdnych rachunków... Zresztą, oni lubią niszczyć to, co mądre i piękne – a te cyfry takie są. Opisują świat nad naszymi głowami. Tesiu, czy ty myślisz, że ja kiedyś jeszcze pójdę do szkoły? Że będę mógł uczyć się o gwiazdozbiorach zimowych i letnich?

TERESA

Piotrek, zawsze miałam cię za dość bystrego kolegę – ale teraz zaczynam w to poważnie wątpić. Tęsknisz za szkołą? Za nudnym jak bura jesień dodawaniem, za pstrokatą jak wiosenne kałuże tablicą pierwiastków, za mieszaniną nizin i wyżyn? Jedyne, czego żałuję, to spalone książki i to, że ołówki są na wagę złota... Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym opisać to wszystko, co się dzieje... Opisać tak... prawdziwie, z krwi i kości.

PIOTRUŚ

Tesia, ołówek – może nie od razu cały – obiecuję znaleźć na jutro. Przetrząsnę wszystkie zakamarki getta. Coś tu jeszcze musi być.

do publiczności:

Tak się właśnie rozmawia z przyszłą profesorką literatury – pisarką i tłumaczką z języka francuskiego, która będzie chodziła zawsze z dwiema torebkami, trzymając w jednej z nich kilka białych zeszytów i pęczek ołówków – równo zaostrzonych, jakby się bała, że kiedyś zgubi słowa i nie zapisze już nigdy nowego wiersza...

do Tesi

Ołówki będą jutro. Zabierzesz je ze sobą do tego drugiego życia... Pani Irena przyjdzie po ciebie z samego rana...

TERESA

Bujasz!

PIOTRUŚ

A właśnie, że nie... Podśluchałem wczoraj, jak rozmawiała z doktorem Fishmanem – dostaniesz jakieś środki nasenne i włożą cię do skrzyni z bandażami i lekarstwami. W drugiej będzie Michał – ten spod trójki, a w trzeciej mała Esterka.

TERESA

A moi rodzice? Co z nimi? A mama Estery? Chyba się zapłaczę... Piotrek, to straszne – cieszę się, że wreszcie ucieknę z tego miejsca, że zobaczę drzewa, że poczuję ziemię pod nogami, że może wreszcie się najem... A z drugiej – bardzo się boję... Bo jeśli coś się nie uda...

PIOTRUŚ

Tesia, pani Irena wyprowadziła z getta setki dzieci... Tylko mi tu nie gadaj, że znowu przesadzam z tymi cyframi – bo to prawda... Daje im nowe imiona i nazwiska, nowe rodziny. Daje im nowe życie.

TERESA

Wiem. I tego też się boję. Nie chciałabym zapomnieć mojego starego imienia. Starej rodziny tym bardziej. Ani starego życia.

PIOTRUŚ

Nie bój się, pani Irena zapisuje, kto jest kim – żebyśmy po wojnie mogli się odnaleźć. Bo przecież wszystko ma swój koniec... Gdybyś dojadła grubą pajdę chleba z dżemem truskawkowym, byłabyś smutna, że to ostatnie kęsy. Ale koniec wojny... Wyobrażasz sobie taką radość?

TERESA

No właśnie nie, Piotrusiu... Akurat tego nie potrafię sobie wyobrazić...

Powraca stonowana muzyka. Do dzieci podchodzi ubrana na białą postać, pochyla się nad nimi, głaszcze po głowie. Potem chwyta za rękę jedno z dzieci z getta – dziewczynkę i – idąc w stronę publiczności – recytuje:

3. WIERSZ

Wśród huku bomb i świstu kul,
Gdy serce rozdziera niehumanitarny ból,
Tuli do piersi swe dziecko matka,
Wiedząc, że czas pożegnania nastał.
Głaszcze po główce, całuje czołko:
„Do zobaczenia po wojnie, córko...”
Trzaskają z hukiem drewniane drzwi,
Za nimi getto czerwone od krwi.
Irena rączkę dziewczynki trzyma –
Tu, w getcie szans na przeżycie nie ma.
Wzrok w chodnik szary od pyłu wbija,
Strach ścina krew, gdy gestapo je mija.

W oddali majaczy gmach sądu na Lesznie,
Jeszcze kroków parę i będzie bezpiecznie.
Przepaską oczy zasłania Temida,
Gdy z piersi Estery spada gwiazda Dawida.
Za murem getta Estera mała
Dzięki pani Irenie – Zosią została.

Biała postać przyprowadza dziewczynkę do pani Ireny. Mała siada u jej stóp.

STARA PANI IRENA dalej przegląda album, wspomina

W listopadzie 1940 roku Niemcy zamknęli getto warszawskie. Uwięzili tam, na małym skrawku ziemi, setki tysięcy ludzi. Dużych i małych. Wchodziłam za mury dzięki przepustce wydanej przez dyrektora Miejskich Zakładów Sanitarnych – Juliusza Majkowskiego. Odwiedzałam przyjaciół i znajomych. Chowałam po kieszeniach, pod płaszczem, wszędzie, gdzie się dało, żywność i lekarstwa. Przychodziłam do dzieci. One wzruszały mnie najbardziej. Listopad był bardzo zimny. Nadchodził grudzień – drugi grudzień tej wojny. Za murami ludzie żyli nadzieją, że cud nadchodzących świąt rozproszy ich strach, przywróci wiarę, doda sił... Czekali na Dzieciątka – jakby Ono mogło swoją kruchością i maleńkością ocalić ich świat... A ja... też miałam swoje dzieci... Tysiące dzieci, które czekały na to, bym znalazła w sobie dość odwagi, by je ocalić – zapakować do skrzyń, waliz, a niektóre to wprost wyprowadzić za rękę przez gmach sądu lub niepostrzeżenie wsadzić do tramwaju, który jechał tuż przy murach getta... Wszystkie są na tych bibułkach – zapisane z imienia i nazwiska... Moje dzieci...

Młoda Irena w stroju pielęgniarki rozmawia z doktorem Fishmanem. Pakują pudełka z lekarstwami... Mija chwila, zanim zaczynają rozmowę...

DOKTOR

Ireno... Musi pani uważać... To już druga kontrola gestapo w tym miesiącu... Sprawdzają stan leków, liczą bandaż, nawet plastry – to podejrzane... Może ktoś na panią doniósł?

MŁODA IRENA

Panie doktorze, musimy być ostrożni – jak zawsze... Ale chyba pan nie myśli, że zrezygnuję... Wie pan, ile rodzin czeka, aż do nich zapukam i podam termin wyprowadzenia ich dzieci? Albo choć jednego... Nie mogę ich porzucić tylko dlatego, że się boję... Że pan się boi...

DOKTOR

Droga Ireno, to nie tak... Nie chcę, żebyś rezygnowała – o siebie nie dbam, ale martwię się o ciebie... Gdybyś dostała się w ich ręce... Cała nasza siatka tajnej współpracy zostałaby zerwana – nie moglibyśmy już nikomu pomóc...

MŁODA IRENA

Zatem nie ma się co martwić. Póki żyjemy i mamy jeszcze trochę odwagi, musimy działać. Doktorze Fishman, jutro muszę wyprowadzić Irenkę Kerner.

DOKTOR

Tę małą tancerkę?

MŁODA IRENA

Tak... Zaczyna się u niej zapalenie płuc. Nie może dłużej zostać w tej lodowatej komórce, gdzie gnieździ się jeszcze pięcioro innych domowników. Przemyciłam do nich trochę kartofli i buraków... Robię jej zastrzyki, ale z tego niedojadania i zimna nie ma szans na poprawę... Ona musi iść w jutrzejszym rzucie...

DOKTOR

Muszę sprawdzić, kto ma rano straż przy sądzie. Jeśli Werner – przejdzie pani z Irenką przez piwnicę. To porządny policjant – pomaga nam, oczywiście, nie za darmo.

IRENA

Wie pan, za każdym razem, kiedy mijam granicę getta, czuję się tak, jakbym wracała ze śmierci do życia – jakbym rodziła się na nowo... A przecież za murami też trwa wojna – na ulicach żołnierze, w sklepach pustki, brakuje węgla i drewna na rozpalenie w piecu... A przecież idą święta... Człowiek tęskni za normalnością – za tym, by usiąść przy stole, zachwycić się bielą obrusu, zapachem świerkowego drzewka, smakiem makowca z rodzynkami... Doktorze... Nigdy nie myślałam, że święta mogą być takie smutne i puste...

DOKTOR

Pani Ireno, nie można tracić nadziei – doczekamy jeszcze takiego grudnia, który napelni nas dziecięcą radością, że oto znowu pierwsza gwiazdka, że śniegu po kolana, że bliscy przy stole, że kluski z makiem i karp ze zdziwioną miną, że spokój dokoła – taki przytulny, ciepły i bezpieczny...

IRENA

Tak, wierzę, że to wszystko kiedyś się skończy. Ale... póki co, doktorze, trzeba ratować dzieci. Irenka Kerner ma już dokumenty – mama uczy ją od kilku dni nowego nazwiska, choć bycie Irenką Matysiakówną za nic jej się nie podoba. Nowa rodzina też czeka – to prości ludzie. Mieszkają w wiosce pod Warszawą – trochę na uboczu tej wojny, ale może to i dobrze. Irenka będzie tam bezpieczna.

DOKTOR

Jeszcze pani zobaczy, że nasza Irenka podbije sceny teatrów – tańczy jak prawdziwa baletnica, choć przecież nigdzie się tego nie uczyła. Ma muzykę we krwi.

IRENA

Te marzenia o przyszłości – przyszłości wszystkich moich dzieci – dodają mi sił.

DOKTOR

Który numer ma Irenka?

IRENA *trzymając w ręku słój*

Wkładałam do słoika kolejną bibułę... Chwileczkę... Tak, to już 450 dziecko, które udało mi się wyprowadzić... Co ja mówię – nam, bo przecież to nie moja zasługa...

DOKTOR

Ale to pani naraża się najbardziej... Mam nadzieję, że świat dowie się kiedyś o pani bohaterstwie...

IRENA

Ależ panie doktorze... To żadne bohaterstwo – to ludzka powinność...

DOKTOR

Zatem – powodzenia. I niech pani na siebie uważa...

*Żegnają się. Irena wkłada do słoika karteczkę i kładzie słoik pod jabłonką.
Powraca spokojna muzyka.*

STARA PANI IRENA *zamyślona, wraca do przeglądania albumu, wspomina*

Ten grudniowy poranek był wyjątkowo mroźny. Ciemność nas chroniła. Irenka – jeszcze na wpół śpiąca – dotarła ze mną do gmachu sądu. Strażnik, udając, że nas nie widzi, oddalił się w drugą stronę – miałam trzy minuty na to, by przez malutkie okienko dostać się do piwnicy i wciągnąć tam bezpiecznie Irenkę. Potem korytarzami, którymi przechodziłam już setki razy, dotarłam do drzwi na tyłach, które wychodziły na zaplecze sądu – ale już po stronie polskiej. Irenka cicho oddychała w moich ramionach. Z jej ust wylatywały kłęбки pary. Była leciutka jak piórko. Widziałam ją potem jeszcze kilka razy. Nowi rodzice zaopiekowali się nią – miała dość kartofli, marchewek i jabłek z przydomowego sadu. Tańczyła wśród drzew. Tak ją zapamiętałam. A potem – po wojnie – widziałam we Francji afisze, na których uśmiechnięta i elegancka pani – Irena Kerner-Matysiak, bo zachowała to drugie nazwisko, którego na początku tak nie lubiła, zaprasza na swój występ do teatru muzycznego... Poszłam, a jakże... I przeplakałam pół przedstawienia... Niewiele z niego pamiętałam, bo widziałam tylko ją. Mojego małego motyla...

Na scenę lekkim krokiem wchodzi para tancerzy – tańczą walca. Po zakończeniu rozdają ukłony niewidzialnej publiczności.

Między nimi, nie widząc tańczących, przechodzi mały Piotruś – niesie zdobyte gdzieś ołówki. W ręku trzyma małą walizeczkę.

IRENA

Piotrusiu, gdzie ty się podziewasz? Szukam cię od rana... Musimy jeszcze raz powtórzyć twoje nowe nazwisko, datę urodzenia i całą tę historię, dlaczego jedziesz sam tramwajem... Pamiętaj, żeby usiąść w pierwszym wagonie, tuż za motorniczym. To pan Józef – wie, że będziesz jego wyjątkowym pasażerem.

PIOTRUŚ

Proszę pani Irenki, ja wszystko umiem – śpiewajaco! Nazywam się Piotr Rozwadowski, urodziłem się 5 maja 1928 roku w Rawie Mazowieckiej. Jadę do mojego dziadka – Stanisława, ponieważ mamusi ciężko jest utrzymać mnie i czworo moich braci. A dziadek jest mleczarzem i ja mu będę pomagał... I co? Dobrze? Myślałem nawet, żeby dodać sobie jeszcze ze trzech braci, żeby to o mamusi zabrzmiało bardziej dramatycznie...

IRENA *uśmiechając się*

Piotrusiu, jesteś urodzonym aktorem!

PIOTRUŚ

Nie, proszę pani Irenki, aktorstwo mnie w ogóle nie pociąga. Za to gwiazdy – ale te na niebie – no i długaśne liczby – to i owszem!

IRENA

Myślę, że świat jeszcze o tobie usłyszy... A co tam masz, Piotrusiu? Co tam ściskasz w ręku?

PIOTRUŚ

A, to? Ołówki, proszę pani. Obiecałem Tesi, jeszcze przed wyjściem, że zdobędę dla niej coś do pisania – bo ona strasznie chciała jakoś utrwalić to wszystko, co jej się tu przytrafiło... Choć trochę wątpię, czy ona w ogóle potrafi pisać... Ale nie wypadało mi zadawać takich głupich pytań... Mogłaby się obrazić – wiadomo przecież, jak to z dziewczuchami bywa... Gniewają się o byle co!

IRENA

Oj, Piotrusiu... Ale schowaj dobrze te ołówki – może zdarzy się jeszcze tak, że będziesz mógł dać je Tesi osobiście. Tylko wszystko musi pójść zgodnie z planem – pamiętaj. Nie rób nic na własną rękę. Jak wyjdziemy z sądu – wsiadasz sam do tramwaju i jedziesz na Różaną 2a.

PIOTRUŚ

Tak, wysiadam na czwartym przystanku i idę jeszcze kawałek w lewo. Wszystko pamiętam. Mam to w małym paluszku.

IRENA

Dobrze... Piotrusiu... Mam nadzieję, że jak dorośniesz i spojrzysz w niebo, zobaczysz tam tylko czysty błękit – bez końca i początku, a nocą srebrne gwiazdy ukołyszają cię do snu – spokojnego i dobrego. Owiń się teraz szalikiem – wysoko, żeby było widać tylko czubek twojego nosa. Ruszemy, kiedy strażnik odwróci się i zacznie iść w stronę dawnego sklepu pana Bauera. To co? Masz w sobie dość odwagi, by rozpocząć nowe życie?

PIOTRUŚ

Tak – o ile będę mógł liczyć gwiazdy...

Odchodzą w głąb sceny. Wraca muzyka.

STARA PANI IRENA *zamyślona, wraca do przeglądania albumu*

Po wojnie, kiedy można już było mówić o tym wszystkim, co się stało, często pytano mnie, dlaczego to robiłam? Dlaczego ryzykowałam własne życie, by ocalić żydowskie dzieci? Czy się nie bałam? Oczywiście, że się bałam. Strach towarzyszył mi na każdym kroku – siedł w ślad za mną. Czy zrobiłabym to raz jeszcze? Jak najbardziej – i to bez zastanowienia! Takie gesty czynią nas prawdziwymi ludźmi. I nie są wcale niczym wielkim – myślę, że każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo. Trzeba być człowiekiem do końca i pamiętać, że każdy ma prawo do tego, by swoje życie przeżyć od początku do końca – ale nie takiego wyliczonego przez innych. Zwłaszcza dzieci – niewinne jak pierwsze płatki śniegu. Nikt nie powinien odbierać im spokojnego snu i marzeń barwniejszych niż kościelne witraże.

Irena Sendlerowa cicho zamyka album. Przyciska go do serca i z lekkim uśmiechem wpatruje się w dal.

Muzyka wybrzmiewa jeszcze parę chwil i milknie.

autorka scenariusza: Katarzyna Jarzembowska